ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Listopada 1892. **Nr. 21.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Dokończenie).

Okna izby, w której wszyscy stali, wychodziły ku wałom i pobojowisku, na którem zwijały się światła mnogie i smolne pochodnie. Wszystek lud z zamku wybiegał odzierać trupy. Widok był straszny i smutny. W pętach pędzono jeńców pokrwawionych, do sznura poczepianych, wozy pełne łupów huczały na zamkowym moście.

Dwaj starsi bracia, Bolko i Mieszek milcząc rzucili się ściskać z sobą, jakby oba drużbę i pokój na przyszłość sobie poręczali. Kaźmierz i Henryk w oknach wywieszeni napół, zabawiali się światłami migającemi na pobojowisku.

Wiatr zrywając się niekiedy niósł woń spalenizny i krwi, głosy jakieś rozpaczliwe a stłumione, niekiedy okrzyk wesoły, który dreszczem przejmował.

XIII.

W Komorowie siedziały niewiasty karmiąc się wieściami, które im ludzie przynosili jak noszą z lasu grzyby i jagody, takie jakie znaleźli po drodze, świeżo urosłe po deszczu, zwiędłe od skwaru, stare i nowe.

Czasami trwoga na gródek padała, naówczas stara Jaksowa macierz, szła do swoich ludzi, stawiała straże, sposobiła się jak do obrony. I gdy jednego dnia wieść przychodziła straszna, groźna przerażająca o poganach już ciągnących tutaj, drugiego ktoś przynosił pociechę wielką, która we trzy dni rozwiała się w powietrzu niczem.

Ludzie mówili, że tam widziano już dzicz w pochodzie, ówdzie, że ją ścigano w ucieczce bezładnej, jedni głosili Władysława zwycięzcą, drudzy pobitym na głowę i wygnanym.

Jednego dnia na wozie przybył ksiądz Marcin, aby odprawić w kapliczce mszę świętą, i wszedłszy do sieni zapowiedział, że będzie im zwiastował pociechę wielką. Jemu już wiarę dać było można. Powiadał, że książę Władysław na głowę został pobity, po klątwie rzuconej nań przez arcybiskupa.

— Prawica Boża — rzekł — dotknęła Kaina!

Uchodzić musiał z pola walki nad Cybiną i znikł, niewiadomo było, gdzie. Jedni mówili, że do Niemiec zbiegł do Cesarza, o posiłki go prosić, ziemie mu swe poddając, drudzy, że na Ruś uszedł z kniaziem Wsewołodem. O Agnieszce i o dzieciach jej słuchu nie było.

Tyle już razy zwiedziona Jaksowa, słuchała głową potrząsając, a w końcu rzekła do starego:

— Póki tej prawdy nie zobaczę, nie uwierzę!

— Rychło i to nastąpi — odparł ksiądz Marcin, — bo Petrek na swój dwór powraca, gotują się już na jego przyjęcie, książę Bolko Kraków obejmuje i zwierzchnie panowanie.

Błogosława, która wybiegła była, aby się od przybywającego o czemś dowiedzieć, wróciła do matki przynosząc jej wesołą nowinę. Poszedł za nią i ksiądz, upewniając sam, że to co mówił, miał z ust ludzi, którzy na klęskę nad Cybiną sami patrzeli.

Ożywiła się twarz kniehini Maryi, ale tego jej nie było dosyć.

— Jeżeli tak jest — poczęła — dla czegóż Petrek nie śle zaraz po mnie, aby ztąd wyzwolił? bym na swój dwór powróciła i tułać się przestała po obcych kątach? Czemuż zaraz nie przybył tu syn mój? sługi moje? Więc już tak zapomnieli o mnie, jakbym ja niczem nie była?

Rozpieszczona pani i teraz jeszcze nie była rada, bo myślała tylko o sobie.

Choć jej w Komorowie dogadzano, miasto miłości dla gospodyni, powzięła do niej odrazę i nienawiść prawie. Dwie też to były istoty, co nigdy by z sobą pogodzić się nie mogły. Stara Jaksowa żyła miłością dziecka, pracą, milczeniem i wielką duszą, którą w piersi nosiła; Petrkowa kochała siebie tylko, a resztę świata, jakby za stworzoną dla siebie trzymała. Całemi dniami bolała i płakała nad sobą zawsze, narzekając na męża, za którego cierpieć musiała.

Błogosława napróżno się ją ukoić starała, zyskując tylko wymówki od matki, że jej nie kóchała. Znosiła to w pokorze. Dla niej ta matki niedola była jakby chorobą jakąś, budzącą litość niezmierną i miłość coraz gorętszą. Znękane jednak czuwaniem i jękami dziewczę więdło w oczach i usychało.

Jaksowa, która na nią teraz jak na synowę patrzała, stękała i bolała, że swojemu dziecku, kwiatka tego jasnego wychuchać nie umiała! Pieściła ją za matkę, żywiła, przytulała, tchem własnym rada ją wzmocnić. Napróżno! Dziewczę w oczach więdło powoli, nie czując nawet że słabło, nikło, rozpływało się jak mgła w powietrzu.

A była coraz piękniejszą, rosły jej oczy błyszczące, twarzyczka smętnego nabierała wdzięku. Gdy stara Jaksowa dopytywała, czy ją co nie boli, zaręczała, że jest zdrową, że jej było dobrze, że się czuje szczęśliwą.

Czasem wychodziła na wały puste i z góry rozpatrywała się po okolicy, po lasach, po polach, słuchała jak śpiewało ptastwo, jak na zamku gwarzyli ludzie, jak piosnki się przez okna otwarte z izby dziewcząt rozlegały. Słuchała, patrzała, wracała potem do złotej kądziołki przy łóżku matki i karmiła się jej narzekaniami.

Z twarzyczki jej znikły rumieńce, na ustach tylko trochę krwi zostało, a oczy, oczy coraz jaśniej świeciły, jakby gdzieś za światy przejrzeć chciały.

Jednego ranku zatętniało, Błogosława rzuciła kądziel i wybiegła. Podwórce pełne były ludzi, konnych, wozów, a w pośrodku na koniu stał Światosław i w około oczyma rzucał. Zoczywszy siostrę skoczył z siodła i padli sobie na szyję, płacząc z radości. Ona wiodła go do matki.

Na widok dziecięcia ukochanego, zerwała się kniehina Marya, krzyknęła i na pół omdlała upadła na posłanie. Syn nogi jej całował. Słowa mu się w ustach plątały.

Zrozumiała Petrkowa, że po nią przybył syn, że nic ją tu powstrzymać nie potrafi. Znalazła siły, aby zerwać się z łóżka, zaczęła odziewać coprędzej, wołając, że choćby zaraz wyruszy w drogę.

Płakała i śmiała się razem. O starej gospodyni swej nie wspomniała nawet.

Ale Światosław jechać nie mógł, dopókiby drużyna jego nie spoczęła, miał też podarki do oddania od ojca i z Błogosławą poszedł do Jaksowej.

Ta stała w izbie swej u stołu, sposobiąc jadło dla przybyłych gości, poważna a smutna.

Uścisnęła Błogosławę tak, jakby córkę ściskała własną, a gdy Światosław przemówił, że ojciec jej posyła dzięki i podarki, odezwała się:

— Najlepszy dar byłbyś mi tu przywiózł, syna mojego biorąc z sobą; za resztę wdzięcznam, odrzucać się nie godzi, ale mi potem nic. Dajecie wy, no, to weźmiecie też odemnie, mam i ja czem się dzielić i obdarzyć.

Chociaż Petrek odarty był ze wszystkiego, lecz skoro Władysław upadł, a on powracał do majętności, we mgnieniu oka znalazło się, co utracił. Roger starosta, Jerzy Żupan z Głogowa, Mikow, Wszebor złożyli się nań szatami, sukniami, sprzętem srebrnym i złotym, futrami, końmi i groszem. Dali królewice swojemu obrońcy obfite dary i Petrek miał się już czem dzielić. A że dla siebie nie potrzebował wiele, dla drugich zawsze będąc szczodrym, nie wyprawił Światosława z próżnemi rękami po żonę.

Wiózł Swiatosław kubki złocone, misy srebrne, jedwabiów sztuk kilka, kun worów dziesiątek.

Gdy dary te złożył, stara podziękowała i rzekła:

— Tak ci jest, darzyć się i obdarzać trzeba, ja też was upominkami dla ojca obciążę, kto bierze, ten dawać musi. Chodźcie-no zemną.

Uśmiechała się starucha chytrze. Zawróciła się do Błogosławy i rzekła do niej:

— Chodź i ty, abyś wiedziała, gdzie co leży, bo to ci się kiedyś przyda.

Zarumieniwszy się dziewczę, szło w milczeniu.

W komorze zamczystej, do której sama ona tylko chadzała, staruszka silną dłonią podniosła drzwi na ziemi leżące, które skórami przykryte były. Ogarek zapalony w glinianej miseczce niosła w ręku.

— Schodźcie — mówiła — a nie bójcie się, choć stromo jest, po bokach sznury wiszą.

Pode drzwiami loch był w ziemi i kamieniu kuty, czarny, otchłanny, straszny jak więzienie. Przodem śmiało kroczyła stara, niekiedy oglądając się na Światosława, który siostrę prowadził. Zawrócili się w lewo, poszli w prawo potem, spuścili w dół, pięli się do góry, aż doszli do drzwi zamkniętych. Jaksowa z pod fartucha dobyła klucz i odsunęła rygle.

Sklepiona izbica szeroka, długa, nizka ciągnęła się gdzieś w głąb, że końca jej było nie dojrzeć. Zaduch w niej panował, bo powietrze tylko kędyś z góry szparami jakiemiś przez błony wpadało.

Dziwy tu ujrzeli.

W prawo i lewo pod ścianami na podkładach dębowych stały skrzynie ogromne, wisiały wory, leżały kupami odzieże i całe sukna wały. W rogu srebra i złota świeciła się kupa ogromna, aż do sklepienia. Co kosztowniejsze stało na skrzyniach.

Oręża i zbroi pospolitej było też podostatkiem. Stara z dumą się zwróciła do Światosława do góry podnosząc ogarek. Nie mówiła nic, ale twarz jej powiadała:

— Co myślicie? jest tego dość!

Światosław, choć u ojca nawykły był skarby oglądać, zdziwił się mnogości nagromadzonego mienia i rzekł do niej:

— Daj wam Boże nie mieć takiego jak my wroga, coby skarby te zagrabił!

Jaksowa już ogarek postawiwszy wybierała co godnem Petrka sądziła, cztery drogie pierścienie na sznur związała, dwa złote wzięła kubki, sztukę szkarłatu odłożyła na stronę.

— Wybieraj sobie ty, co ci lubo! — rzekła do chłopca — abyś mi ztąd z próżnemi nie wyszedł rękami.

To mówiąc pierścień jeden na palec włożyła Błogosławie, dała Światosławowi jeden, dwa dla rodziców.

Zmuszony wybierać młody gość wziął tarczę małą wyrabianą wzorzysto, bo niczem ostrem obdarzać się nie godziło. Sztukę szkarłatu na plecy mu zarzuciła stara, sama misy i kubki wzięła w silną rękę i dawszy im po skarbcu popatrzeć, szła z powrotem.

A gdy znowu szli, nietylko ów skarbiec podziwiał Światosław, ale drogę, którą doń niewiadomemu trafić było trudno, bo pod zamkiem, jakby krety ryły, wązkiemi szyjami i chodniki się rozbiegały do góry, w dół, porozgałęziane na wsze strony.

Gdy powrócili nazad do izby, już znaleźli od Petrkowej sługę, która do wyjazdu nagliła, a stara nie wstrzymywała, choć na Błogosławę patrząc, łzy jej w oczach stawały.

W ostatniej chwili kniehini się przywlokła żegnając i dziękując.

— Nie ma tam za co! — odparła dumna niewiasta.

Dziewczę ze łzami rzuciło się jej w objęcie.

— Powracaj do mnie! — szepnęła jej do ucha — wracaj, gołąbko moja, źle ci nie będzie!

A tu już do wozów i koni naglono, kniehini na swoim siedziała, córkę wywołując niecierpliwie do siebie.

I jak stała w progu stara Jaksowa, tak wkuta, nieprzytomna, zapatrzona została długo, zapomniawszy o bożym świecie. Z oczów łzy ocierała.

O synu wiedziała, że przy Petrku pozostał, któremu jak rodzonemu służył ojcu, jako dziecko własne ukochane. Nie mógł przybyć ze Światosławem razem, bo jeden z nich przy na wpół oślepłym zostawać musiał.

Powrót Palatyna do dworu pod Sobotkę, tak uroczystym był, jak okrutne z niego porwanie. Gdy się o zbliżającym dowiedzieli starzy druhowie, jechał naprzód starosta Roger z ziemiany o mil dziesięć, aby go poczestnie wprowadzili na dworzec, już na przyjęcie jego przysposobiony. A gdy miał do domu wjeżdżać, zaszli mu drogę OO. Benedyktyni z opatem na czele i mieszczanie, wyjechał ks. Janik z archidyakonem Rogerem, zebrał się wszelakiego ludu tłum ogromny, uderzono we dzwony w kościele.

I była chwila uroczysta, która ludziom z oczów łzy wyciskała, gdy go ujrzeli z oczyma chustą białą zawiązanemi, pieszo naprzód idącego do kościoła, na podziękowanie Bogu. Kościół cały światłem płonął, pieśniami się rozlegał. Tu kląkłszy Petrek u ołtarza, upadł na twarz, a ludzie płakali, a mnisi śpiewali.

Do kruchty, choć go popychano i odpędzano, wcisnął się odarty, straszny, z głową kudłatą Jarmucha. Szedł a krył się i bał, aby go nie poznano, a choć uczynił co mógł, lękał się, aby się na nim za krew nie mszczono. Widzieć chciał Petrka, choć zbliżyć się doń nie śmiał. Śmiał się, drżał, popłakiwał, do słupa tulił, a gdy napowrót lud wypływał z kościoła, jakaś siła nieznana nade drogę go popchnęła.

Ujrzał Petrka, jako teraz szedł, chustę z oczów zrzuciwszy przed ołtarzem, jedną źrenicą całą, drugą krwawą, patrzącego wesoło na świat Boży.

Gdy tak szedł Palatyn a spoglądał dokoła, zobaczył Jarmuchę, który się za czyjeś plecy chował i stanął.

Ponieważ ręką skinął ku niemu, wnet czeladź rzuciła się na obszarpanego biedaka, precz go chcąc odegnać, ale Petrek stał, wołał go ku sobie i przykazał, aby go za nim do dworu wiedziono.

Tu go przeobleczono w suknie nowe, i dano mu izbę przy straży, aby we dworze mieszkał.

Na dworcu swym, choć mu go przystroili druhowie, nie zastał palatyn wspaniałości dawnej, ale w tych izbach, której zajmował sam, gdzie nie było co odzierać, powitał ławy swe i ogniska i stół, i wszystko co tu zostawił, a to go najwięcej rozradowało.

Zapełnił się dwór znowu biesiadnikami, gośćmi i wrzawą jak za dobrych czasów. Petrek na żonę i córkę czekał, dni rachująca. Jaksę pytając, kiedy przybędą?

Rachowali dni oba.

Aż jednego ranka dano znać, że jedzie Marya, wyszedł Petrek naprzeciw, a wstyd mu było prawie stawić się przed piękną niewiastą z krwawemi oczyma, twarzą wybladłą i zestarzałą.

Gdy wóz się zatoczył przed dwór, Petrkowa spojrzała na męża, krzyknęła i zakryła swe piękne oczy. Ocucono ją i wiedziono do domu. Biedna niewiasta szła ręce łamiąc izbami, których nie poznała, za nią córka wiodąc ojca, łzawemi oczyma wpatrzonego w młodą jej twarzyczkę, przekwitłą niedolą, zwiędłą od smutku, co się uśmiechać musiała.

I Jaksa szedł za niemi nie spuszczając z niej wzroku, nie wiedząc, czy się cieszyć, że wracała, czy smucić, że cień jej widział tylko.

Nim się biedna Petrkowa oswoiła z nową dolą swoją, z mężem kaleką, z życiem, z ludźmi, których brakło wielu i nim wylała żale i bóle, powtarzane każdemu z kolei, trochę upłynęło czasu. Jaksie już dawno Petrek powiedział, ściskając go: Córkę ci dam, choćby mimowoli macierzy, bom ci dłużen wiele, a no, bądź cierpliwy, kwiatek to nierozwity...

Nierychło, raz wieczorem siedzieli we dwoje Petrek na ławie w kącie, pani na wezgłowiach i jak zwykle, rozwodziła żale, jako jej w Komorowie było, iż w więzieniu nie mogło być gorzej.

— A toć będzie gniazdo córki naszej! — odezwał się Petrek.

Rzuciła się kniehini.

— Ja, dać córkę moją? na to wygnanie i pustynię? Tej niewieście za dziecko, która prostą chłopką jest?

— Nie jej, ale Jaksie ją dam, bo bo mi on drugim synem był — odezwał się Petrek — i miłuje mnie i ją, a naszym będzie.

W płaczu długo utulić się nie mogła Petrkowa, nie chcąc córki dawać, męża starając odwieść, w końcu niezdoławszy tego uczynić, ani go przekonać, wpadła w gniew wielki. Nie pomogło nic. Jechały swaty, przyjął Petrek Jaksę za zięcia.

Gdy księżna Agnieszka uciekać potem musiała z Krakowa z Niemcami swemi, a Bolko objął stolicę i w kraju na czas ucichło, bo Niemcy się tylko zdala odgrażali i burczeli, sprawiono wesele wielkie, jakiego Wrocław nie widział jeszcze.

Szła panna młoda do ołtarza, że się ludzie dziwili, czy niewiastą była żywą, czy cieniem a duchem, bo w niej już krwi nie stało na rumieniec i siły do uśmiechu.

Potem jechali młodzi do Komorowa, i Swiatosław ich jako brat prowadził, a przyjmowała matka stara, gromady na zamku okrzykiwały, jakby gniazdo słali na długie szczęście i życie.

Było to jesienią.

Na wiosnę z zamku szedł pochód wielki, przed nim w kapie czarnej ks. Marcin, który im ślub dawał, za trumną mąż w rozdartych szatach, i brat i ojciec. Matki nie było.

Biedna Błogosława zmarła!...

Jaksa w strapieniu wielkiem po żonie, gdy książę Henryk szedł do Ziemi Świętej, walcząc o odzyskanie grobu Chrystusowego, pociągnął z nim razem, zginąć chcąc, aby życia nie dźwigać, które srodze ciężyło tęsknotą.

Nie wzięła go przecie ani strzała, ani miecz niewiernych i wrócił cały do starej matki do Komorowa. I on to był, co mnichów Stróżów Grobu Chrystusowego przywiózłszy z sobą, pierwszy zakon ich na ziemi polskiej, w Miechowie osadził.

KONIEC.





W DZIEŃ ZADUSZNY.

Bańką mydlaną, ognikiem na bagnie
Jest życie ludzkie. Jedno śmierci tchnienie,
Niby kłos żytni hardą głowę nagnie
I przetnie dumne a kruche istnienie.

I świat umarłych od świata żyjących
Bardzo niepewna granica odrzyna;
Mylą się nawet serca kochających,
Gdzie się ten kończy a tamten zaczyna.

A więc nad tymi, co te kresy mylne
Raz już przebyli, uczyń zmiłowanie,
Pomnij, że nieraz nawet barki silne
Ugiąć się muszą, i przebacz im Panie!

Dziś »Święto zmarłych« a któż to odgadnie?
Jutro już naszem stać się może łacno;
Więc gdy te kresy nam przebyć wypadnie,
Daj nam, o Panie, o daj nam śmierć zacną!

NIECO O DZWONACH.

Nie przejdzie dziś dzień, aby się nie słyszało odgłosu dzwonu, bądź to z wieży kościoła, bądź też zkądinąd. Głównie przypominają się dzwony kościelne przynajmniej trzy razy dziennie, na »Anioł Pański.«

Zajmującą jest rzeczą zbadać, od kiedy to dzwony weszły w tak częste używanie, mianowicie też w kościele.

Najdawniejsza wzmianka o dzwonach kościelnych znajduje się w pismach św. Grzegorza z Tur (Tour), około środka szóstego stulecia po Chrystusie.

Już w owych dawnych czasach, starano się, aby w kościołach było więcej dzwonów, niż jeden, a nadto aby dzwony były rozmaite kształtem i dźwiękiem. Św. Karol Boromeusz wydał dla swojej dyecezyi medyolańskiej rozporządzenie, jako każdy kościół katedralny siedm a najmniej pięć dzwonów posiadać powinien, każdy kościół kolegiacki trzy a kościół parafialny też trzy, najmniej dwa.

Wiele kościołów parafialnych posiada najpierw dzwon na Niedziele. W niego dzwonią, gdy się nabożeństwo ma zaczynać i to zwykle po trzykroć. Trzeci raz, tuż przed zaczęciem nabożeństwa, uderzają we wszystkie dzwony. W Sobotę lub też w wigilią wielkich Świąt wieczorem dzwonią także we wszystkie dzwony, ażeby wiernym przypomnieć o święcie następującem nazajutrz.

W wielu miejscach jest zwyczaj, że przed uderzeniem w wielkie dzwony, najprzód dzwonią małym, zwanym miejscami »sygnaturką.« Jak już sama nazwa wskazuje, daje się owym dzwonkiem niejako znak innym dzwonom a także wiernym (signum = znak.) Zwyczaj ten ma pochodzić ztąd, że w dawnych czasach dawano dzwonieniem w mały dzwonek znak tym, w co wielkie dzwony dzwonili, aby przyszli, bo już czas na dzwonienie.

W ogóle dzwony odzywają się przed każdem nabożeństwem w kościele. Tylko w ostatnie trzy dni Wielkiego Tygodnia nie dzwonią na znak żałoby. Wtedy zastępują je »klekotki» czyli drewniane narzędzia, wydające głuchy odgłos. Chłopcy biegają po wsi i klekocą, bo rzadko gdzie są takie »klekotki« na wieżach. Na Szląsku znajdują się w dwóch kościołach wielkie narzędzia do »klekotania« na wieżach i to: w kościele św. Krzyża w Wrocławiu i w kościele parafialnym w Bystrzycy (Habelschwerdt).

Podczas interdyktu czyli gdy kościół został zamknięty na pewien czas przez władzę kościelną, nie wolno też dzwonić.

W wielu kościołach są dzwony, w które tylko na wielkie uroczystości dzwonią; nazywają je dzwonami świątecznymi. W południowych Niemczech dzwonią w każdy Piątek o 9 rano i o 3 po południu na przypomnienie wiernym o śmierci Chrystusa na krzyżu. Zwyczaj ten zaprowadził w 15 wieku arcybiskup salcburski Eberhard.

W różnych okolicach (np. na Warmii i nad Renem) jest w zwyczaju, że w wigilie świąt uroczystych uderzają we dzwony w ten sposób, że dzwonów samych nie poruszają, tylko »serca« ich ciągną od strony do strony. Dźwięk dzwonów jest w takim razie mniej dźwięczny.

Zwyczaj dzwonienia na »Anioł Pański« nastał zapewnie od czasów papieża Sabiniana. Godziny, w których na »Anioł Pański« dzwonią, są rozmaite: rano od wschodu słońca aż do 9 godziny; w południe między 11 a 1 godziną; wieczorem między 3 a zachodem słońca. Już św. Jan Bonawentura zalecił braciom Franciszkanom w mieście Pizie r. 1262, aby dawali wiernym znak dzwonem wieczorem, że trzy »Zdrowaś Marya« odmówić należy. Papież Jan 22-gi potwierdził to w r. 1318.

Dzwonienie rano po klasztorach było we zwyczaju niezawodnie od tak dawna, jak dzwony w ogóle nastały. Dzwonek dawał znak braciom klasztornym, aby wstawali i na ranną mszą św. spieszyli. W X-go wieku przywiązano do tego rannego dzwonienia znaczenie pamiątki

i przypomnienia o zmartwychwstaniu Pana Jezusa.

Dzwonienie w południe nakazane zostało przez papieża Kaliksta III, który w roku 1455 nakazał modlitwy w południe na uproszenie pomocy Boskiej w wojnie z Turkami.

Zwyczaj dzwonienia zmarłym jest bardzo dawny. Już w VIII. wieku, gdy opat Sturmius we Fuldzie (r. 799) czuł bliską śmierć, kazał uderzyć we dzwony, aby się zakonnicy za niego modlili. Umarłym rozmaicie dzwonią; w jeden dzwon lub we wszystkie dzwony.

Gdy się burza zbliżała, dzwoniono dawniej wszędzie, — dziś tylko miejscami, — aby wezwać wiernych do modlitwy o odwrócenie nieszczęścia.

Miejscami też używają dzwonów, aby przestrzegać przed niebezpieczeństwem lub wołać o ratunek. W Szwecyi, w górach Alpejskich, w Alzacyi i w Badenii panuje zwyczaj, że w burzliwe wieczory dzwonią od 7 do 10 wieczorem w każdej wsi. Ma to na celu, aby zbłąkanym podróżnym dać znak, w której stronie ludzie mieszkają. Temu samemu celowi służy dzwon w klasztorze na górze św. Bernarda i na górze Splügen.

W Szkocyi, tuż nad morzem, był w dawnych czasach na skale przytwierdzony dzwon, którym dawano znaki rybakom, na morzu będącym. Dziś tam stoi latarnia morska, z której także za pomocą dzwonów znaki okrętom dają.

W czasach średniowiecznych zaczęto też umieszczać dzwony na miejskich budynkach, jak ratuszach, bramach, gmachach kupieckich i t. p. Tymi dzwonami wołano obywateli pod broń, gdy nieprzyjaciel na miasto napadł.

We Wyrcburgu dzwoniono w XIV. wieku w dzwonek, gdy się żniwa w winnicach zaczynały. Na odgłoś tego dzwonka gromadzili się robotnicy i najmowali się do roboty w winnicach.

W Akwizgranie dawał dzwonek znak, kiedy się robota zaczynała. W Gdańsku dzwoniono w dzwonek na gmachu, zwanym »dworcem Artusa,« gdy tamże świeże piwo było. W niektórych miastach dzwonią, gdy się jarmark zaczyna i gdy kończy. W mieście Bonn nad Renem jest osobny dzwonek dla zamiataczy miejskich; gdy w niego zadzwonią, muszą zamiatacze wziąć się do zamiatania ulic.

Gdy wojna wybuchnie, obwieszczają sołtysi dzwonkiem, że nadeszły »ordery« dla tych, co na wojnę iść muszą. Po miasteczkach dzwonią też policyanci, gdy mają jakie rozporządzenie magistrackie obywatelom ogłosić.

W sądach bywał dawniej dzwonek, w który dzwoniono, gdy się sądy zaczynały. Prawo karne pruskie z roku 1851 nakazuje dzwonić we dzwonek więzienny, gdy wyrok śmierci na jakim przestępcy spełniają.

Jeszczeby więcej można o używaniu dzwonów powiedzieć jak np. o dzwonkach w fabrykach, na okrętach, kolejach żelaznych, przy zebraniach i t. d. Lecz już i to, co się powyżej napisało, wykazuje dostatecznie znaczenie, jakie dzwony w życiu kościelnem i społecznem mają.

PIERŚCIEŃ POLIKRATESA.

Na krużganku stał wysokim
I potoczył dumnem okiem
Po krainie wdłuż i w szerz.
»Patrz, tem moja rządzi wola«
Do Egiptu rzecze króla,
»Żem szczęśliwy, teraz wierz.«

»Polubieńcem jesteś bogów,
Siłę równych tobie wrogów
Widzisz teraz u twych nóg;
Ale jeden żyje jeszcze.
Szczęsnym ciebie nie obwieszczę,
Póki czuwa taki wróg.«



PIERŚCIEŃ POLIKRATESA. (Obacz wiersz na str. 328).

Jeszcze król nie zamknął mowy,
Poseł wbiega w próg zamkowy,
Do tyrana mówi wręcz:
»Na cześć bogów nie zapłonie
Żar ofiary: twoje skronie
Biesiadniczym laurem wieńcz.

Wróg naszemi już dziryty
Skłuty, i na głowę zbity;
Wódz z tą wieścią posłał mnie.«
I na misie na miedzianej
Łeb pokaże dobrze znany,
Krew już stęgła na nim schnie.

Król ze wstrętem się odwrócił;
Smutny, tę przestrogę rzucił:
»Nie wierz szczęściu w falach mórz,
Jeszcze twoja pływa flota,
Z bałwanami się szamota,
Żaliż się nie lękasz burz?«

Gdy te słowa mówił, właśnie
Od przestani okrzyk wrzaśnie
Radosny, witania krzyk;
Flota łupy zbogacona,
Niesie w portowe ramiona
Długi las masztowych pik.

Podziw króla wciąż się wzmaga:
»Dziś fortuna ci pomaga,
Lecz niestałość, to jej błąd;
Kretów naród to waleczny
A zły sąsiad niebezpieczny,
Już się zbliża pod twój ląd.«

Ledwie skończy, już przestroga:
Pędzą tłumy, a u brzega
Wieje już zwycięstwa znak!
Kretów rozpędziła burza,
Naród radość swą wynurza,
Wolny od wojennych plag.

Gościa chwyta przerażenie:
»Dziś szczęśliwym ciebie mienię,
Jednak los mnie trwoży twój;
Bogów lękam się zazdrości,
Bo u człeka nie zagości
Nigdy cały szczęścia rój.

I ja szczęsne życie wiodłem,
Pod przyjaznem niebios godłem
Wielem dzieł dokonać mógł;
Alem miał dziedzica w synie,
Z woli bogów ten mi ginie,
Nim spłaciłem szczęściu dług.

Złe od siebie byś odwrócił,
Proś Jowisza, aby rzucił
Na twe szczęście smutku cień;
Biada! komu z pełnej dłoni
Bóstwo ciągłe dary roni,
Zły go czeka w końcu dzień.

»Gdy bóg prośby nie wysłucha,
Słuchaj rady twego druha,
Sam to pasmo szczęścia skróć;
Wybierz z skarbów twoich wiela,
Czem się serce rozwesela,
Weź to i do morza wrzuć.«

Na co tamten trwogą zdjęty;
»Nad me skarby, dyamenty
Droższy jeden pierścień mam:
Więc Erynyom w dań go złożę,
Szczęście nim okupię może?«
I swój pierścień topi sam.

Lecz niedługo o poranku,
Rybak stawa w księcia ganku,
A radosna jego twarz:
»Panie! jako długo żyłem,
Takiej ryby nie złowiłem,
Dar rybaka przyjąć każ.«

Kuchmistrz rybę gdy rozpłata,
Przestraszony znów wylata,
I zawoła: »Panie, patrz!
Drogi pierścień z twojej ręki
Wydobyłem z rybiej szczęki,
Pierścień twój odebrać racz.«

Gość odwraca się z przestrachem:
»Nie, pod jednym z tobą dachem
Ni w przyjaźni nie chcę żyć;
Twojej zguby pragną bogi
I śmierć wniosą w twoje progi,
Ja twym gościem nie chcę być.« *)

---

*) Polikrates, o którym ten wiersz głosi, był tyranem czyli panem samowładnym wyspy Samos około 540 roku przed Chrystusem. Zrazu powodziło mu się bardzo dobrze i miał szczęście we wszystkiem. Wiersz opisuje to szczęście. Poganie wierzyli, że jak kto ma ciągle wielkie szczęście, to raz popadnie w wielkie nieszczęście. Dla tego to król Egiptu wzywał Polikratesa, aby sam jakie nieszczęście na siebie sprowadził, co też tenże uczynił, wrzucając kosztowny pierścień do morza. Lecz szczęście służyło i w tem Polikratesowi, bo już nazajutrz pierścień znów odzyskał. Koniec Polikratesa był bardzo smutny, bo przez perskiego władzcę Orontesa schwytany i na pal wbity został.

Wspomnienia z życia ks. Sebastyana Kneippa.

Stwórca, który wszystkich ludzi stworzył i który swoją Opatrznością człowieka utrzymuje i prowadzi, kieruje także losem każdego pojedyńczego człowieka i prowadzi go nieraz drogami życia, o których nie myślał i nie marzył nigdy.

Ksiądz Sebastyan Kneipp urodził się w Bawaryi w małej wiosce Stefansried, gdzie jego ojciec był tkaczem. Chłopczyna rósł w ubogim domku rodzicielskim wychowany przez prostego ale bardzo rozumnego ojca i przez matkę surową i w wielkiej karności trzymającą swego synka. Pomimo ubóstwa i niedostatku rósł i rozwijał się mały Sebastyan, lata upływały i nadszedł dla niego dzień uroczysty, który każdego dziecka serce niewypowiedzianą radością napełnia, dzień pierwszej Kommunii świętej. Rodzice byli tak biedni, że nie mogli mu sprawić na tę uroczystość nowego ubrania. Matka poświęciła więc swoję suknię ślubną i uszyła Sebastyanowi strój, który miał przywdziać w dzień Komunii św. Wzruszony i uradowany dobrocią matki, przyjął świąteczne ubranie z jej rąk z wielką wdzięcznością, gdy jednakże włożywszy je na siebie ukazał się w szeregach świątecznie postrojonych dzieci, mała gromadka głośnym powitała go śmiechem i drwinkami. Ponieważ sukno z matczynej sukni było układane we fałdy, które z wierzchu spłowiały, pod spodem zaś zachowały dawną barwę, przeto surdut Sebastyana miał pełno fałd i pasów, co rzeczywiście śmiesznie i dziwacznie wyglądało. Takiemu samemu losowi uległ kapelusz, który ojciec posiadał, jeszcze z czasów gdy pełnił jakąś straż obywatelską i dał go teraz synowi. Wszyscy podziwiali i wyśmiewali jego kapelusz. Biedny chłopczyna przekonał się teraz i nieraz jeszcze w życiu, że ubogiemu zawsze, jak mówi przysłowie, wiatr w oczy wieje.

W jedenastym roku życia zajął go już ojciec do pracy i zaczął uczyć swojego rzemiosła; w dwunastym roku musiał codziennie pięć łokci płótna zrobić, co mu zajmowało wszystkie godziny od rana do wieczora. Przytem uczył go ojciec rachunków.

Chociaż Sebastyan siedział przy tkackim warsztacie od rana do nocy i pilnie pracował, nie miał żadnego zamiłowania do tego zajęcia, chciał zostać księdzem. Ale ile razy odezwał się z prośbą do rodziców, aby go kazali uczyć, zawsze jednę odbierał odpowiedź, że nie ma środków na jego wykształcenie. Widząc, że rodzice nie przychylą się nigdy z własnej woli do jego życzeń, udał się do księdza sąsiedniej wioski, wyspowiadał mu się ze swoich pragnień, i prosił, aby się starał nakłonić rodziców, iżby go uczyć kazali. Gdy ów ksiądz pewnego razu przyjechał odprawić mszę świętą w Stefansried, wstąpił do starego tkacza. »Jeżeli możecie poświęcić« rzekł do niego »2000 złotych na wykształcenie waszego syna, każcie go kształcić na księdza, w przeciwnym razie dajcie pokój; sam byłem biedny i wiem, co wycierpieć trzeba, zanim się dojdzie do celu; nie radziłbym tego nikomu.«

Ponieważ zaś cała majętność tkacza nie miała więcej wartości jak 400—1000 złotych, ponieważ były na niej długi a oprócz Sebastyana czworo dzieci, nie mogło być mowy o takiej sumie, więc wszyscy radzili zasmuconemu chłopcu, aby sobie naukę wybił z głowy i pilnował swojego rzemiosła.

Powołanie człowieka należy do Boga i silniejsze jest, aniżeli moc ludzka. Sebastyan nie mógł też zagłuszyć głosu Bożego w swej duszy, który go wołał do siebie i służby swojej. Od miesiąca do miesiąca rosło w nim i potężniało pragnienie nauki; praca przy warsztacie ciężyła mu kamieniem.

Skończył już lat 13 a nic nie zmieniło się w jego życiu. Udał się więc do innego księdza, który tej samej co pierwszy mu udzielił rady, że nauk bez

potrzebnych pieniężnych środków rozpoczynać nie warto, i że każdą pracą Panu Bogu służyć można. Do 17 roku udawał się o pomoc do 20 różnych księży, prosząc, aby mu dopomogli do uzyskania wewnętrznego spokoju, ale żaden z nich nie zajął się losem biednego chłopca, żaden nie ulitował się i nie podał ręki pomocnej. Pracował więc Sebastyan zimę całą przy warsztacie,



Ks. Jan Bapt. de la Salle we szkole.

(Obacz objaśnienia rycin na str. 336.)

latem jako najemnik u chłopów; nikomu nie pozwolił się wyprzedzić w pracy, wypełniał sumiennie swoje obowiązki ale czuł się bardzo nieszczęśliwy. Walka wewnętrzna zabierała mu młodość i radość życia, zaczął się usuwać od towarzystwa ludzi, był najszczęśliwszy, gdy nie widział nikogo i mógł być sam ze sobą tylko. Pochłaniała go żądza nauki, a była ona tak wielka, że pewnego razu, gdy już miał lat 18, wstał w nocy o 1 godzinie, ubrał się i oświadczył zdziwionym rodzicom, że idzie do Kempten, postarać się, aby się mógł tam oddać nauce. Ojciec gniewał się na niego. »Idź« rzekł »a po drodze rozważaj sobie czwarte przykazanie.« Pomimo to udał się Sebastyan do Kempten nie mając grosza pieniędzy. Szedł dziewięć godzin, zanim doszedł do celu podróży. Odszukał mieszkanie rektora i zaklinał go na wszystko, aby się nad nim zlitował i przyjął go do szkoły. Rektor starał się wszelkiemi siłami odwieść go od tego zamiaru, ale gdy to nic nie pomagało i Sebastyan natarczywie nalegać nie przestawał, uległ nakoniec i przyrzekł, że go do szkoły przyjmie pod tym warunkiem, że pozwolenie ojca na piśmie mu przyniesie. O 6 godzinie wieczorem był Sebastyan znowu w domu, ale podróż jego była daremna, bo ojciec żądanego poświadczenia dać niechciał.

Rozpacz ogarnęła serce młodzieńca, nie mógł ugasić w piersi pragnienia wiedzy, które tyle lat paliło mu duszę, a na całym wielkim świecie nie było jednego człowieka, któryby mu podał rękę litośnie i dopomógł do urzeczywistnienia jego życzeń gorących. Nie mogąc już liczyć na nikogo wziął Boga na pomoc, i postanowił pilnie pracować, oszczędzać, składać grosz do grosza, a mając zaoszczędzony kapitalik, poszukać jakiego szlachetnego człowieka, który by się jego losem zajął.

Robione oszczędności, były mu przez trzy lata jedyną pociechą. Miał małą skarbonkę, do której każdy grosz zapracowany składał i ukrył ją na poddaszu aby się nikt o jego skarbie nie dowiedział. Lato przepędzał w polu przy pracy ciężkiej i męczącej, zimę przy tkackim warsztacie, odmawiał sobie wszystkiego a starał się pomnażać swój kapitalik. Sprawił sobie skromne urządze-

nie na przyszłe studenckie życie, kazał sobie zrobić skromne łóżko, sam zrobił płótno na pościel, wystarał się o kuferek i z przyjemnością przemyśliwał o swej przyszłości. Tak upłynęły trzy lata. Sebastyan miał już lat 20, gdy go nowe spotkało nieszczęście, matka umarła mu nagle i swoje zamiary musiał znów odłożyć na przyszłość. Rok później postanowił zamiast do sprzętu traw, wyruszyć w świat i szukać znów jakiego księdza, który by się nad nim ulitował i rozpoczął z nim naukę. Nikt nie wiedział o tem postanowieniu, wszystko było przygotowane i w Czerwcu miał opuścić rodzinną wioskę.

Był to właśnie dzień urodzin Sebastyana, skończył 21 lat; siedział przy warsztacie i pracował. Nagle ujrzał słup dymu i płomienie ogarniające dach sąsiedniego domu. Pożar powstał w wiosce liczącej 14 domów, z których 13 w krótkim czasie stało w płomieniach. Sebastyan był sam ze siostrą w domu; powynosił z domu, co się dało, ale tylko kwadrans miał czasu. Cały dom stał się pastwą płomieni, spłonęło całe urządzenie nieszczęśliwego młodzieńca, przepadło 70 złotych reńskich tak krwawo zapracowanych, nie pozostało mu nic, prócz ubrania, które miał na sobie. Był bardzo smutny; byłby łatwo przebolał utratę domu, ale ciężko mu było przeżyć swoje zawiedzione nadzieje, gdyż po ludzku sądząc, przepadło teraz wszystko, nie było nadziei przeprowadzenia jego zamiarów. Gdy jednakże po niejakim czasie otrząsnął się z odrętwienia w którego doznany cios go pogrążył, odżyła w nim dawna myśl, której ogień nie mógł spalić, że u Boga niepodobieństwa nie ma, że Ten, który mu wlał w duszę takie nieugaszone pragnienie wiedzy, może też poprowadzi go na pożądaną drogę życia.

Przedewszystkiem trzeba było spalony dom odbudować. Sebastyan Kneipp zabrał się z wrodzoną mu gorliwością do tego dzieła; pracował bez wytchnienia i odpoczynku, przez całe lato nie kładł się w łóżko, wschodzące słońce zastawało go już przy pracy, która trwała tak długo, dopóki zupełna ciemność ziemi nie okryła. Pracę umiłował od najrychlejszej młodości i pomimo roboty w polu i w domu, umiał zawsze znaleść czas na rozmaite zajęcia. Tak np. nauczył się sam szczepić drzewka i przez wiele lat szczepił i hodował drzewa szpalerowe z wielką przyjemnością.

Gdy był jeszcze młodym chłopcem podarował mu ojciec ul pszczół. Chłopczyk ucieszył się niezmiernie i spędzał wszystkie godziny wolne przy ulu. Rozbudziło się w nim wielkie zamiłowanie do pszczelnictwa; później napisał książeczkę o tym przedmiocie. Nauczył się także pleść koszyków a wszystkie te zajęcia sprawiały, że wystarczał sam sobie i nie dbał o towarzystwo ludzi.

We Wrześniu dom był już na ukończeniu i nikt już teraz nie mógł powstrzymać Sebastyana od porzucenia ojcowskiego domu i udania się w podróż. Opierającej się i niezadowolnionej rodzinie oświadczył, że się chce wydoskonalić lepiej w swojem rzemiośle i puścił się w drogę.

Udał się do Augsburgu, wstępował tu i owdzie prosząc o pomoc w nauce, ale wszędzie odprawiano go z niczem.

Zniechęcony powrócił do domu, ojciec go wyśmiał i był przekonany, że syn będzie teraz w domu siedział. Jednakże inaczej się stało, bo Sebastyan nie mówiąc nikomu ani słowa, udał się do miasteczka o cztery godziny oddalonego, do pewnego młodego księdza, aby się poskarżyć na swoją smutną dolę. Był to znany ksiądz Maciej Merkel, który później był profesorem teologii w Dillingen i Passau i który jako domowy prałat papieski krótko przed śmiercią przybył do Woerishofen, gdzie 10. Listopada 1881 roku umarł i pochowany został. Młody dobry ksiądz, wysłuchał jego opowiadania i po niejakim namyśle rzekł, że trudno będzie rozpoczynać naukę w tym wieku, ale jeżeli tak jest wola Boża, wszystkiego dokonać można. Przyrzekł Sebastyanowi, że o ile mu czas pozwoli, zajmie się jego nauką.

W domu nikt nie wiedział o wycieczce Sebastyana a ponieważ ksiądz

kazał mu po upływie tygodnia przyjść do siebie, czuł się nad wszelki wyraz uszczęśliwiony. Oświadczył więc rodzinie, że pójdzie na wędrówkę i uda się do Szwajcaryi, aby się wydoskonalić w swojem zawodzie i poznać nowe sposoby tkactwa. Pomimo, że wszyscy byli temu przeciwni, udał się w podróż, ale zamiast do Szwajcaryi, poszedł do Grönenbach. Ponieważ mu się całe urządzenie i wszystkie pieniądze spaliły, poszedł w świat, mając tylko dwa guldeny i 30 krajcarów w kieszeni. Kupił sobie surdut za 30 krajcarów, pantalony, w których łokieć materyi kosztował 16 krajcarów, kończatą czapkę i w tym dziwacznym stroju przyszedł do Grönenbach. Najpierw udał się do burmistrza i prosił go, aby mu wskazał jakie mieszkanie, gdzie by mógł mieszkać przez czas nauki u księdza. Burmistrz spojrzał zdziwiony na niego i zawołał: »Wyglądasz jako parobek i chcesz się uczyć, ależ to głupstwo! Gdybyś miał lat 12, mógłbyś o tem pomyśleć, ale w tym wieku nie można zaczynać; ksiądz nasz jest bardzo dobry i nikomu odmówić nie umie, ale uczyć Cię nie będzie. Noc już zapadła, więc przenocuj u mnie a jutro wracaj do domu i pracuj jak dotąd pracowałeś na życie.«

Na drugi dzień, poszedł burmistrz do księdza i opowiedział mu o starym uczniu, który do niego przybył. Powróciwszy, oznajmił Sebastyanowi, że jego sprawa źle stoi, ksiądz się zląkł i przyznał, że tylko przez litość przyobiecał dawać mu lekcye, że najlepiej będzie odstąpić od nierozsądnego zamiaru; jednakże Sebastyan nie odstąpił i drząc ze strachu, udał się sam do księdza, przekonany, że tenże go odpędzi jak wszyscy inni. Ksiądz przyjął go dobrotliwie, przyniósł łacińską książkę i na pierwszą pracę wybrał słowa »mensa.« Uszczęśliwiony, powrócił do burmistrza, usiadł w kącie pokoju i nauczył się prędko swojego zadania, a ponieważ nie miał co robić, poszedł do sług burmistrza i pomagał im młócić zboże i odpasać konie.

Na drugi dzień wstał rychło swoim zwyczajem, pracował porówno ze służbą a o 8-mej udał się do księdza na drugą lekcyę. Po załatwieniu się z nauką pracował tak samo jak dnia poprzedniego, czem sobie burmistrza tak ujął, że tenże wystarał mu się o pożywienie u rozmaitych osób na sześć dni, i o mieszkanie u pewnego krawca, gdzie po czterech dniach miał się udać. Gdy Sebastyan miał odchodzić na nowe mieszkanie, wszyscy domownicy, którzy go bardzo polubili, prosili burmistrza, aby go zatrzymał u siebie i nadal, na co tenże ku wielkiemu zadowolnieniu Sebastyana chętnie przystał.

(Dokończenie nastąpi.)

PODRÓŻ BALONEM.

(Dokończenie.)

Gdy Fergusson powiedział, że jeszcze jest sposób ratunku, spojrzał Józef z dumą na swego pana i rzekł:

— Wiedziałem, że mój pan jeszcze co wymyśli.

Fergusson zaś w przykrem i niebezpiecznem położeniu, w jakiem pozostawali, wpadł na szaloną prawie myśl.

— Moi przyjaciele, — rzekł do towarzyszów; — zanim prześladowcy nasi nadjadą, upłynie przynajmniej godzina, bośmy ich bardzo w tyle zostawili. Nie traćmy tedy czasu. Widzicie tę trawę na siano spieczoną! Zacznijcie ją znosić na kupę, a spieszcie się. Jeżeli się mamy uratować, musicie przynajmniej ze 100 funtów tego siana nażnosić.

— Na co ci to siano potrzebne? — spytał go Ryszard.

— Nie mamy gazu w balonie, — odpowiedział Fergusson, — dla tego nie postaje nam nic innego, jak rozgrza-

nem powietrzem balon napełnić, ażeby nas na drugą stronę rzeki przeniósł.

Z podziwem wysłuchał Ryszard tych słów i rzekł:

— Przyjacielu! Jesteś prawdziwie wielkim i mądrym człowiekiem.

Podczas gdy Ryszard z Józefem siano na kupę znosili, wypuścił Fergusson resztę gazu z balonu. Potem urznął go kawałek na dole, skutkiem czego otwór balonowy się powiększył. Następnie podłożył pod otwarty niejako balon kupę siana i zapalił je.

Nie potrzeba zbyt wiele czasu do tego, aby balon rozgrzanem powietrzem napełnić. Niezadługo też zaczął się balon podróżników wypełniać i zaokrąglać. Trawy nie brakło a Ryszard i Józef zwijali się co niemiara z robotą.

Właśnie było ćwierć po dwunastej godzinie.

W tej chwili posłyszeli podróżni okrzyki z daleka; to ich prześladowcy. Bystre oczy Józefa mogły ich nawet już dojrzeć, jak w wielkim galopie ku nim pędzili.

— Za jakie dwadzieścia minut mogą tu stanąć, — rzekł Fergusson.

— Trawy, więcej trawy! — zawołał Józef. — Za dziesięć minut możemy być wysoko w powietrzu.

Znoszono więc trawę, ogień płonął żywo a balon wypełnił się do dwóch trzecich części ciepłem powietrzem.

— Teraz się uwieście za siatkę, okrywającą balon, — zakomenderował Fergusson.

Ryszard i Józef wnet to uczynili.

— Już! — rzekł Józef.

I Fergusson się uwiesił. Nieprzyjaciele nadjeżdżali coraz to bliżej z wielkim wrzaskiem. Balon począł podskakiwać do lotu, ale jeszcze był za słaby.

Fergusson podsunął jeszcze kupę trawy pod niego i dobrze się stało, bo po krótkiej chwili, podniósł się balon w górę, unosząc z sobą trzech podróżników.

— Wiwat! — zawołał Józef.

Goniący nieprzyjaciele wznieśli straszliwy okrzyk, widząc, że uciekli im ci, których już w swojej mocy mieć sądzili. Kilku wypaliło do balonu z karabinów, lecz kule nie doszły.

Balon wzniósł się 800 stóp nad ziemią. Silny wiatr pochwycił go i pchał mocno ponad rzeką.

W dziesięć minut potem zaczął balon spadać ku przeciwległemu brzegowi.

Tam stała gromadka oficerów francuskich, którzy w tamtejszych koloniach francuskich służbę czynili. Nie mało się zadziwili, spostrzegłszy, jak z przeciwnego brzegu balon się wnosi. Z początku nie umieli sobie tego wytłómaczyć. Dowódzca ich jednak przypomniał sobie, że wyczytał przed pewnym czasem o śmiałym Fergussonie, który wyjechał balonem na zwiedzenie Afryki. Dorozumiał się przeto, że to właśnie balon Fergussona.

Balon tymczasem słabł raptownie i zniżał się coraz więcej. Francuzi stojący nad brzegiem wątpili, czy zdoła dolecieć do brzegu. Dla tego kilku z nich rzuciło się w rzekę, ażeby ratować zmęczonych podróżników, jeżeliby w wodę wpaść mieli.

Dobrze uczynili, bo balon istotnie wpadł do rzeki, ale Francuzi z łatwością wszystkich trzech podróżników na brzeg wydobyli.

— Wszakże dr. Fergusson? — zapytał dowódzca Francuzów.

— Tak jest, — odrzekł zapytany, — Fergusson i jego dwaj przyjaciele.

To mówiąc zwrócił się do p. Ryszarda i Józefa ze łzami w oczach i wszyscy trzej uściskali się serdecznie.

— Bogu dzięki! — szepnął Fergusson, a obaj towarzysze przywtórzyli mu.

Zakończenie.

Francuzi przyjęli podróżników bardzo gościnnie, podziwiając ich odwagę. Oficerowie wypytywali się Fergussona i Ryszarda o szczegóły podróży, a Józef znów opowiadał żołnierzom przygody.

— W ogóle była podróż nasza dosyć nudna — tak zakończył opowiadanie. — Kto lubi przygody nadzwyczajne, ten niech się nad Afrykę balonem nie puszcza, bo mu się ta podróż wnet

sprzykrzy. Gdyby nie przygody nad Czadzkiem jeziorem i tu przy rzece Senegalu nie byłoby co opowiadać. Wszystko szło całkiem prostym i naturalnym porządkiem!...

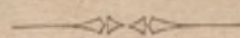
Pierwszym okrętem, który tamtędy przejeżdżał wyjechali podróżnicy do Anglii, gdzie ich powitano z bardzo wielkim zapałem i niezwykłymi honorami.

Pan Ryszard odjechał wnet na wieś do domu a Fergusson pozostał z Józefem w Londynie. Stósunek ich zmienił się teraz skutkiem tej podróży; Józef przestał być sługą Fergussona, a Fergusson panem Józefem; stali się przyjaciołmi.

Gazeta angielska, która podróż ich opisała, nie mogła nastarczyć dosyć numerów, bo wszyscy chcieli czytać o dzielnych podróżnikach. Ów numer gazety wyszedł z 977 tysiącach egzemplarzy, z czego się okazuje dokumentnie, że Anglicy ciekawsi, niż Polacy, bo choć »Światło« o wiele obszerniejszy opis balonowej podróży podało, nietylko nikt się zbyt nie darł, ażeby sobie to pisemko zapisać, lecz sporo egzemplarzy jeszcze na składzie zostało. Gdyby ów Józef żył, a po polsku umiał, toby go redakcya »Światła« za kolportera najęła; możeby zdołał polski lud do czytania zachęcić. Jakby opowiedział, że w Anglii każdy człowiek czyta jaką gazetę i jakby wyjaśnił, że właśnie skutkiem rozszerzonej między ludem oświaty i dobrobyt w Anglii większy i lepszy, niż u nas, toby może pobudził niejednego człowieka leniwego umysłu do czytania.



OBJAŚNIENIA RYCIN.



Ks. Jan Bapt. de la Salle we szkole. Od wieków otaczał Kościół św. szczególną opieką szkoły chrześciańskie dla ludu. Ze smutkiem tedy przychodzi nam dziś patrzeć na to, jak rządy usiłują szkołę odsunąć z pod wpływu Kościoła i księży. A nie tylko odsunąć, ale zgoła na szkołę państwową, rządową, często zaś nawet bezwyznaniową czyli symultanną zamienić. Rodzice katoliccy bywają zmuszani do posyłania dzieci do szkół, do których nie mają zaufania albo które potępiają. To jest gwałt sumienia, tem dziwniejszy w naszych czasach, o których wielu głosi, że są czasami wolności i postępu. Starożytne narody, acz pogańskie, nie posunęły się tak daleko, ażeby wychowanie dzieci brać w kleszcze rządowe. U Greków, Rzymian, Persów, Chińczyków panowała zupełna wolność co do wychowania dzieci; nawet cesarze rzymscy za pierwszych wieków chrześciaństwa nie przymuszali chrześcian, aby do pogańskich szkół dzieci swoje posyłali. Dopiero rządy dzisiejszych czasów dążą do tego, aby rodziców i dzieci podać w duchową niewolę. Katolicy nie mogą ustać z protestowaniem przeciw temu zamachowi na szkołę i muszą dla dobra wiary, obyczajów i całej przyszłości dzieci ciągle się dopominać o wolność wychowania dzieci i o to, ażeby Kościół św. przez księży miał wpływ we szkole na wychowanie.

Dobrze było szkole, gdy stała w związku z Kościołem, bo wszystko działo się w niej po Bożemu. Po wszystkie czasy znajdowali się księża, którzy życie swoje poświęcali całkiem wychowaniu młodzieży. Zakładały się nawet zakony, których celem było wychowanie dzieci.

Jednym z tych księży i założycieli zakonów był ks. Jan de la Salle, który w roku 1681 zakon ku nauczaniu i wychowaniu założył, a w pokorze nazwał go zakonem »braci nieumiejętnych.«

Obraz w dzisiejszym »Świetle« pokazuje ks. de Salle nauczającego we szkole.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Odświeżanie wyblakłych dywanów i obić na meblach.** Spłowiałe od słońca dywany i obicia na meblach można łatwo w domu odświeżyć i przywrócić im dawną barwę. W tym celu kupuje się w składzie materyałów aptecznych odpowiednią farbę (dwie flaszki na dywan lub sofę średniej wielkości), i miesza się ją w garnku, dolawszy trzy lub cztery razy tyle gorącej wody. Następnie nową, ostrą szczotkę macza się w płynie i otrząsnąwszy ją nieco, naciera się mocno dywan lub obicie, które poprzednio musi być dobrze wyczyszczone i z kurzu otrzepane.

— **Rozpoznanie wieku karpi.** Odrywa się jedną łuskę i oczyszcza się ją w spirytusie, a potem, trzymając obcążkami, patrzy się pod światło. Łuska karpia jednorocznego ma w środku błyszczący punkcik; u dwuletniego punkcik otoczony jest obrączką; u trzyletniego dwiema obrączkami, u czteroletniego trzema, u pięcioletniego czterema. Liczba obrączek na łuskach karpia powiększa się corocznie o jedną.

— **Jak zapobiedz, aby się mleko nie zwarzyło.** Aby się mleko nie zwarzyło podczas upałów, trzeba dodać do niego kwasu borowego (1 gram na 1 litr mleka.) Domieszka ta nie jest szkodliwą dla zdrowia.

— **Niektóre sposoby utrzymywania i leczenia indyków, gęsi, kur i t. p.** Indyki wielkiej potrzebują opieki i w wychowaniu są najtrudniejsze, tak dalece, że dopóty życia ich nie można być pewnym, dopóki im korale się nie rozwiną. Ptak ten jest bardzo czułym na odmiany powietrza, wilgoć i zimno, ztąd też pochodzą ich liczne choroby. Szkodzi im duszne, zgniłe powietrze, nieczystość, zaduch i ciasnota w kurniku, dostają zatkania w nosach, opuchnienia, bólu głowy i chorobą tą zarażają inne ptactwo. W wypadku tym należy zabezpieczyć ptactwo od tej choroby a przedewszystkiem usunąć przyczyny, z których powstała; potrzeba zatem zachować największą czystość, często przewietrzać i zaopatrywać kurniki, ażeby było ciepło i należyty miało przystęp. Potrzeba dawać im wodę przegotowaną z odrobiną czarnego pieprzu i ostudzoną, a ponieważ często zwykły cierpieć zatwardzenie, trzeba im niekiedy z rana dawać cokolwiek oliwy z trochą cukru, w pokarmie.

Najlepszym pokarmem indyków jest kasza jęczmienna gotowana, zmięszana z świeżym serem, troszką siekaniny z krwawniku i żagawek. Dobrą jest rzeczą, dawać im niekiedy mleka słodkiego prosto od krowy, a głowy raz na miesiąc smarować oliwą, pomięszaną z jedną częścią tranu, gdyż zamłodu często ich napada weszka i niezmiernie im dokucza, tak że częstokroć giną. Oznaką tej słabości bywa opuszczanie skrzydeł. Gdy podrosną, dostają zatwardzenia, wskutek czego cofają się w tył, chcąc się pozbyć gnoju. W tym wypadku daje się im pająka do połknięcia, a najskuteczniejszem lekarstwem na wszystkie słabości są mrówcze jajka, dawane im przez sześć tygodni po wylęgnieniu.

Zaraza na g ę s i przytrafia się pospolicie w Czerwcu i Lipcu; w czasie tym najczęściej, zwłaszcza młode, zwieszają głowę, nie chcą jeść i zdychają. Przyczyną tej choroby jest mały robaczek, gatunek pijawki, który im w czasie, gdy po wodzie pływając nurkują, w nozdrza się dostaje, kanały oddechowe zatyka, ssie wilgoć i krew, przez co gęsi tracą pożywne soki, a nie mogąc oddychać, niesłychanie się męczą. Najlepszym w tym razie jest lekarstwem, ponasypywać gęsiom w dziurki nosowe po odrobinie soli, lub wpuścić kilka kropel oliwy z tranem, a robaczki natychmiast powyłażą, — główki także oliwą z tranem nasmarować. Dobrą jest także rzeczą do łyżki oliwy z tranem, dodać cztery krople terpentynowego lub bergamotowego olejku, a w braku tychże rozmarynowego lub lawendowego, a płyn przygotowany za pomocą piórka napuszczać.

Podobnej słabości ulegają k a c z k i, i toż samo służy dla nich lekarstwo.

Gdy gęsi tak młode jako też i stare zaczynają opuszczać skrzydła, należy dawać im przez 3 dni co rano szczyptę soli miałkiej, lub łyżkę słonego rosołu, a przyjdą do zdrowia i nie będą skłonne do zarazy. Co do gąsiąt i kacząt, przestrzegać należy, ażeby dopóki są w puchu, i dobrze piórkami się nie pokryją, nie było im zimno i nie chodziły po deszczu, bo gdy przemokną, giną.

Choroby k u r są następujące: pypeć, wszy w głowie, zatycie, woda w wnętrznościach, lanie jaj bez skorupek. Chcąc od tych wszystkich słabości zachować kury, potrzeba nadewszystko kurnik utrzymywać w czystości, stawiać go na południe, zaopatrywać licznemi grzędami, i dawać podłogę szczelną lub kamienną. Potrzeba więc, zwłaszcza w lecie, przynajmniej raz na tydzień oczyszczać kurnik, przez co uniknie się rozplemienia wszy kurzych, któremi gdy kury są dręczone, cały czas trawią na opędzaniu się tymże, o jadle nawet zapominając.

Jeżeli kura lub inny ptak zaczyna skrzydła opuszczać, jeżeli u niej blednie grzebień i kolczyki czyli poduszka, jest to dowodem, że im na głowie zagnieździły się małe robaczki brunatne. Te to robaczki bywają przyczyną bólu głowy, a ten początkiem pypcia. W tym przypadku pociera się im głowę oliwą z tranem i zdejmuje pypeć. Smarowanie to, gdy znikną ślady tegoż, powtarza się, a dla zabezpieczenia się na zawsze, co trzy miesiące ponawia. Gdy kura zatyje, wyrywa się jej kilka piór z kupra uszczupla pokarm dając pić pod dostatkiem. W puchlinie: nacina się mały otwór w skórze na brzuchu, wypuszcza wodę, zaszywa i zamazuje rankę balsamem peruwiańskim. Na lanie jaj bez skorupek, daje się kurze

z rana trochę jęczmienia zrumienionego na patelni lub w piecyku do kawy, potem osadza ją na popiele ciepłym lecz nie gorącym w zamknięciu na 24 godzin. Powtarza się to do czterech razy po jednodniowych przerwach, lub tak długo, dopóki kura nie zacznie nieść jaj w skorupkach.

Ogród owocowy.

(Ciąg dalszy.)

Jabłoń (Pirus malus) znajduje się u nas w stanie dzikim, czyli raczej zdziczałym, gdyż najnowsze badania dowiodły, że pierwiastkową ojczyzną jabłoni jest Azya. Drzewo jabłoni wytrzymuje dobrze północny, surowy klimat; lubi wilgoć w atmosferze i w gruncie, ten ostatni powinien być żyzny i głęboki.

Grusza (Pirus communis) znajduje się również w naszych lasach w stanie zdziczałym; udaje się lepiej w ciepłym, pulchnym gruncie niż w ciężkim i dosięga często późnego wieku. Uszlachetniona przez zaszczepienie na drzewku zwykle tworzy jeden gruby pionowy korzeń, z niewielu pobocznemi korzeniami.

Grusze karłowe szczepią się na pigwie, o której niżej.

Pigwa (Pirus Cydonia v. Cydonia vulgaris) rzadko wyrasta w drzewo; posiada bardzo liczne korzenie i z tego powodu udaje się lepiej na ciężkim, byle głębokim gruncie. Stósownie do kształtu owocu rozróżniamy pigwy jabłkowe z okrągławym i gruszkowe, z podłużnym owocem. Owoce surowe nie są jadalne, lecz dla przyjemnego i dosyć silnego zapachu używają się na konfitury. Pigwa rozmanaża się przez odkładanie (ablegrowanie) rzadziej przez sadzonki.

Morela pochodzi pierwiastkowo z Armenii. Hoduje się albo jako drzewo wysokopienne, albo jako drzewo niskopienne w szpalerach. Uszlachetnienie czyli szczepienie odbywa się zwykle na pieńkach śliw. Drzewo to lubi dobry, żyzny grunt i położenie zaciszne, chociaż nie zbyt ciepłe. Z powodu wczesnego dojrzewania owocu w lecie, można morele hodować w szpalerach, nawet w miejscowościach mniej dogodnych. Przekłada grunt lekki, piaszczysty z domieszką wapna, nad ciężki i spójny.

Brzoskwinia pochodząca ze wschodu, prawdopodobnie z Persyi, jest dosyć wrażliwą na nasz klimat i z tego powodu wybredną co do miejsca. Owoce jej zaliczają się do najprzedniejszych. Dla tego drzewa przeznacza się miejsce w ogrodzie najcieplejsze i najlepiej osłonięte od wiatrów; zwykle hodują się jako karły w szpalerach, a szczepi się najlepiej w pieńkach śliwowych. Drzewka wyhodowane z pestek wydają niekiedy niezłe smaczne owoce. Ciepłe, suche grunta najlepiej jej sprzyjają.

Śliwa pochodzi ze wschodu i z południowej Europy. Lubi silny nieco, ciężki grunt i w dobre lata rodzi nadzwyczaj obficie. W wielu okolicach Niemiec jak w Turyngii i w Saksonii, a nawet po za granicami Niemiec, w Czechach naprzykład, śliwki stanowią ważny artykuł handlu wywozowego. Na Węgrzech służą śliwki za materyał do wyrobu wódki zwanej śliwowicą. Śliwy rozmnażają się przez odbitki z korzeni; delikatniejsze gatunki szczepią się na pieńkach zwyczajnych śliwek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

* **Krwawy czyn obłąkanego.** W Plymouth, w Stanach Zjed. Ameryki człowiek nie zdrowy na umyśle popełnił straszliwy czyn. William Loch, człowiek liczący lat 34 chorował kilka tygodni temu na tyfus i dostał wskutek tego obłąkania. W ostatnich dniach dostał obłędu religijnego i postanowił ofiarować Bogu kogokolwiek ze swej familii. W wtorek wybiegł z łóżka, pobił starą swą matkę, złamał jej rękę w dwóch miejscach i katował ją tak, że po całem ciele była pokrwawioną. W dzień czy dwa później zaczął szaleć i chciał ofiarować Bogu najstarszego swego syna, lecz zamknięto go w jego pokoju. Żona jego osłabiona wskutek obawy i choroby, prosiła ludzi, którzy się zgromadzili przed domem, aby uspokoili waryata, lecz nikt nie ruszył się, może z obawy o własne życie. Najstarsze dziecko było zamknięte w pokoju położonym tuż obok izby, w której się obłąkany znajdował; okna dwóch tych izb znajdowały się tuż nad dachem werandy. Loch wszedł na dach, wybił okno sąsiedniej izby, wszedł do niej i wrócił z dzieckiem mającem tylko koszulkę na sobie, i trzymał go tak, że każdy mógł widzieć, co z niem robi. W obec struchlałego tłumu poderznął dziecku brzytwą gardło, następnie położył ciało na kolanie i wołał: Teraz umyję twarz i ręce w krwi mego dziecka! Uczynił jak mówił. Kilku odważniejszych usiłowało dostać się na dach, ale Loch ich zepchnął. Policyi dopiero udało się waryata z dachu spędzić.

* **Nigdzie niema tyle jezior** co w stanie Minnesota, w północnej Ameryce: liczba ich wynosi dziesięć tysięcy, a największą trudność przedstawia ich rozróżnienie, nie wszystkie bowiem mają odrębne nazwy. Podobieństwo nazw także w błąd wprowadza: jezior nazywających się Rike-loke jest 47, Round-loke 37 i t. p.

* **Żołądek Berlina.** Berlin dzielnym odznacza się apetytem, zwyczajnie młokos. W r. 1730 Paryż liczył 540,000 mieszkańców, Berlin zaś 72,000. W sto lat później stolica Francyi dosięgała miliona ludności, gdy rezydencya królów pruskich zaledwie skromną względnie cyfrą 300,000 obywateli poszczycić się mogła. Z wstąpieniem na tron Wilhelma I-go Berlin doszedł pół miliona, gdy Paryż dochodził dwóch milionów.

Nazajutrz to po wojnie z r. 1870 stolica cesarstwa rozpoczyna olbrzymiemi krokami posuwać się naprzód: 975,000 dusz w r. 1876, 1,100,000 w r. 1881, 1,400,000 w r. 1886, 1,600,000 w r. z. Zrazu Paryż nie daje za wygraną i w latach 1881 i 1886 ca-

łym milionem mieszkańców przewyższa ludność Berlina. Stósunek ten wszakże dla Paryża opada znacznie w ciągu ostatnich pięciu lat, przybywa mu bowiem w tym okresie czasu 75,000 dusz, gdy Berlin zyskuje ich 238,000. Jeżeli tak dalej pójdzie, stolica Niemiec w połowie przyszłego wieku przewyższy nietylko Paryż, ale i Chicago i Nowy Jork i rozpocznie współzawodniczyć z Londynem.

Dla utrzymania takiej liczby ludzi koniecznem jest obfite pożywienie. Anglicy przechwalają się tylko, twierdząc, iż w rzędzie stworzeń mięsożernych bezwględne im się należy pierwszeństwo. Zaszczytu tego, radzi nieradzi odstąpić muszą berlińczykom. Każdy z poddanych królowej Wiktoryi spożywa rocznie $47^1/_2$ kilogramów mięsa, gdy w stolicy niemieckiej średnio przypada na każdego 77 kilogr., nie licząc dodatków w drobiu, zwierzynie, koninie, konserwach amerykańskich i wszelkich wyrobów masarskich. Paryżanie zadowalniają się 69 kilogramami na osobę.

Nadwyżkę tę »ateńczycy z nad Sprei,« jak się sami skromnie zowią, zawdzięczają olbrzymiej konsumcyi wieprzowiny. Pożerają rocznie 600,000 sztuk nierogacizny, gdy paryżanie, jakkolwiek ich jest o 800,000 więcej, zadowalniają się 300,000.

Mieszkańcy stolicy nadsekwańskiej odbijają się na potrawkach i kotletach. W Paryżu pada corocznie dwa miliony skopów, zaś tylko 800,000 w Berlinie. Ten ostatni zdobywa palmę pierwszeństwa wśród miast mięsożernych 233,000 wołami, 140,000 cieląt i 8000 opasowemi końmi, rokrocznie przechodzącemi przez rzezalnie nadsprejskie.

Łatwo pojąć, iż w mieście o tak potężnym apetycie fach rzeźniczy staje się złotem jabłkiem. W Berlinie giełda mięsna ruchliwsza jest od handlowej.

* **Wiele ptaków** podczas snu kurczy jednę nogę i chowa głowę pod skrzydła. Położenie to wydaje nam się bardzo niewygodne, z powodu trudności zachowania równowagi na cienkim drążku, tymczasem wszystkie muskuły ptaka kurczą się w ten sposób, że ciało jego z łatwością utrzymuje równowagę, do czego właśnie dopomaga podniesiona noga.

* **Jednem z najpożyteczniejszych** stworzeń jest wieloryb. Mózg jego dostarcza spermacety, wnętrzności olbrotu, szczęki fiszbinu, za tonę którego płacą 25,000 m., ciało tranu. Skóra służy eskimosom do wyściełania łódek, wątroba stanowi ulubiony przez nich przysmak. Rybacy tyle jednak tępią wielorybów, że liczba ich szybko się zmniejsza.

* **Patronem prawników** a szczególniej adwokatów jest św. Iwo, bretończyk, urodzony w r. 1253. Ukończywszy studya prawne, filozoficzne i teologiczne, dostał probostwo w Bretanii, tam się odznaczył jako gorliwy rzecznik ubogich i obrońca pokrzywdzonych. Zmarł w roku 1303, kanonizowany został w r. 1347.

* **Wielcy panowie** w XVII i XVIII wieku mieli zwyczaj nosić zawsze karty do gry w kieszeni. Jeden z nich nie zastawszy w domu przyjaciela, napisał na odwrotnej stronie karty swoje nazwisko i stał się wynalazcą biletów wizytowych. Pierwsze bilety wizytowe w Anglii mieli hrabia i hrabina Northumberland; nazwiska ich były wydrukowane na odwrotnej stronie asa pik i trójki karo. W Wenecyi bilety wizytowe weszły w użycie w drugiej połowie XVI stulecia; były one ozdobione pięknemi rysunkami lub malowidłami.

* **Najstarszym dziennikiem** na świecie jest »Gazeta Pekińska«, złożona z kilku arkuszy cienkiego ryżowego papieru i oprawna w żółtą okładkę. Żaden inny dziennik mierzyć się z nią nie może pod względem wieku, gdyż wychodzi bez przerwy od lat tysiąca. W Chinach też wychodzi osobliwy dziennik, drukowany na papierze tkanym z przędzy białego pająka chińskiego. Długość jego wynosi czternaście cali, szerokość jedenaście, zawiera dwie kolumny druku. Jedynym w swoim rodzaju jest także dziennik »W chmurach«, wydawany wśród chmur na szczycie Mount Washington, najwyższej z gór w Nowej Anglii. Wydawca sprzedaje rocznie około 20,000 egzemplarzy tej gazety, tyle bowiem osób wdziera się rocznie na szczet owej góry. Wielką oryginalnością odznacza się dziennik jadalny, wydawany w New-Yorku p. t. »Journal Comestible«, drukowany czekoladowemi literami na arkuszach wybornego ciasta, cienkiego jak opłatek.

* **W jednej tylko części** świata niema zupełnie i nigdy nie było małp, a mianowicie w Australii. W Europie żyje tylko jeden ich gatunek w okolicach Gibraltaru (Magot).

ŻARTY.

Miłość sąsiada.

— Cóżto, sąsiad taki wesoły — czy zboża się poprawiły?

— Nie, ale u sąsiadów grad wszystko zbił do szczętu.

— Wyobraź sobie, ostatnia choroba tak mi osłabiła pamięć, że w kilka dni zapominam o tem, co poprzednio mówiłem i robiłem.

— Czy nie mógłbyś mi dziś pożyczyć pieniędzy?

Za mało i za dużo.

Na proszonym obiedzie podano wyborne wino. Pan domu zwraca się do służącego i pyta:

— Ile jest jeszcze tego wina w piwnicy?

— Trzy butelki, proszę jaśnie pana.

Po odejściu gości, gospodarz wyłajał służącego i kazał mu na drugi raz lepiej rekomendować zasobność piwnicy. Wkrótce potem, znowu przy gościach, pan zwraca się do służącego z zapytaniem:

— Ile jeszcze mamy tego wina w piwnicy?

— Dziesięć tysięcy butelek, proszę jaśnie pana.

— Mąż twój mówi, że dostał od ciebie pudełko cygar na gwiazdkę.

— A tak, od czasu do czasu zabieram mu nieznacznie kilka cygar i daję potem cało pudełko jak podarek. Sprawia mu to wielką przyjemność a mnie nic nie kosztuje.

Wet za wet.

— Jak można mieć taki długi nos! Miałem dlatego pana zawsze za żyda, a jednak pan nim wcale nie jesteś.

— No widzi pan, jak można się mylić! Ja pana z powodu dużych uszów zawsze miałem za osła, a jednak pan nim nie jesteś.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.